Nr. 19. We Lwowie dnia 13. maja 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Wł. Orkan

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

(KOMPOZYCJA LIRYCZNA*)

Patrz — nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole -
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole...

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Śmiertelna jakaś, cicha Noc
Zawisła u krawędzi...

I jedno skrzydło czarne wzdłuż
Po niebie rozpostarła,
A drugie pod się biorąc — tuż,
O skały je oparła...

I tak w milczeniu, pełna dum,
Stanęła nad urwiskiem.
U stóp jej czernią zaległ tłum,
Kotłuje się mrowiskiem

I w rozpętaniu ślepych mas
Szalonem kołem pędzi —
A przed nim zwolna stąpa Czas
I mierzy dal krawędzi...

Widzisz na stoku czarny las?
Jak długo stoi, kto wie...
Stoi tak, jak przed wiekiem stał —
I nikt z żyjących już ci nie opowie,
Kto go tam siał...

*

Hej!... nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole.

Szatański jakiś tworzy wir
Ta rozbawiona rzesza,
A Noc rozplata ciemny kir
I dołem go rozwiesza...

»Zapomnieć! dalej! wartko! w skok!
Niech ziemia się rozdudni!...
Rozbity piersią, padnie mrok
I noc się wypołudni...

»Zapomnieć trosk i łez i krwi,
Ho, dalej! bez pamięci!...
Naród z proroków bożych drwi,
Igrzyska stare święci!

»Hej, ognia! ognia! Palcie stos!
Niech bogom strzeli w oczy!...« —
Huczy wezbranej fali głos
Daleko po uboczy...

I stał się każdy krzak ogniskiem,
Płomieniem jałowiec —
Zda się: pasęcy nad urwiskiem
Idzie kerdel owiec,
Owiec ognistych...
Przez ubocz stromą i pastwisko
Kędyś daleko
Rozchodzi się i rośnie w szałasy,
Które zwolna, pasęcy idąc, pokryły się w lasy,
Doznaku —
Jeno dymy za nimi się wleką,
Jakby przy każdym krzaku
Pasterze nie zgaszone odeszli ogniska...

* * *

W dolinach mgły...
Na nieprzejrzanej ziem przestrzeni
Białe się morze przelewa i pieni

*) Odznaczona na konkursie „Prawdy“ warszawskiej.

I tak się cicho z bezmiary kołysze,
Jak od błękitów spadające wisze...
Wiatr po niem tańczy i grzywiaste lwy
Porywa, wstrząsa, obala i ciska,
W toń białą rzuca i grzbiety im gnie,
Do piersi fale miłośnie przyciska,
Obraca niemi, wiruje i mknie
Z nieznanej dali w nieznaną dal...
Dziwna igraszka fal
Na smutnych mgławic szarym oceanie!
Skąd zatopionych gór skaliste szczyty
Widnieją słońcu — niebosiężne granie —
Wyspy umarłych, chowające byty
W grobowcach skalnych... W pozłocistej dali,
Gdzie od błękitu odcina się brzeg —
Słońce się krwawo zimnym ogniem pali,
Po wierchach topi wiekuisty śnieg
I płomienistem wytacza się kołem...
Dołem,
Na szarzejącej równi białej,
Mgły-samotnice, ciche, opuszczone,
Błądzą i wiatru płaczą... Włos rozwiały,
Nie wiedzą, smutne, w którą lecieć stronę.
W rozpaczy białe wyciągają szyje
Do słońca, co się poza wierchy kryje.
Wyszło... Z obawy, że im znowu pierzchnie,
Pochwyciły się za ręce i lecą
Białe, pierzaste, jak łabędzie świecą —
Całe ich stado powietrzem falisto
Płynie, aż słońce od ich skrzydeł mierzchnie,
Mży i rzewnością otacza się mglistą,
Łagodnym smutkiem idącą w przestworza...
W dolinach szare łamią się powierzchnie
I rozstępują się, jak wody morza
W pełną księżyca noc, kiedy urokiem
Gwiazd przyciągnięte, fale się podnoszą.
I rozdzieliły się w kopiaste kłęby,
Które się zwolna ponad ziemią toczą,
Suną i suną, osłonięte mrokiem,
Mkną wąwozami po pod skalne zręby,
Mkną przyczajone, a blaski je płoszą
I pędzą dalej a dalej ubocza..
Aż się pokryły w zagłębie i jary,
Lub się w powietrzu rozwiały, jak mary.

I na tę ziemię łez i wiecznych cieni,
Ziemię płaczących brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni —
Na tę nieszczęsną, skamieniałą ziemię
Spłynął brzask ranny...
Od przeczystej zorzy.
Iskry padają w zadymione szyby
Chat poczerniałych i szarych lepianek,
Budząc do życia to nizinne plemię.
Na wyrkach swoich dźwigają się chorzy,
Starcy omszali, jak miesięczne grzyby,
Wyłażą z chałup witać biały ranek;
I młodzi śniade wychylają lice,
Patrząc, jak światło mknie przez okolicę,
Jak się po roli wzdłuż smugami kładzie.
A w pełnym blasku wszystkie te postaci
Są, jako grusze w zacienionym sadzie,
Są, jako blade, ziemniaczane naci,
Które w piwnicy wilgotnej przed wiosną
W nocy się kłują i bez słońca rosną.

Na ugor pusty, podobny cmentarzom,
Pasterz wypędził bydło, niech po trawie
Znikłej żywności szuka... Smutne owce
Zbierają grzyby i gryzą jałowce.
A on, pacholę, siadł... Trzy lata prawie,
Jak ten rok minie, służy gospodarzom,
To jest od czasu, jak mu jeść nie dali
W chałupie, mówiąc, żeby robił na się,
Żeby szedł komu paść... Poszedł i pasie.
Nigdy się na nic przed nikim nie żali,
Codzień o brzasku i o jednym czasie
Wygania w pole; a gdy słońce wschodzi,
Klęka przy bydle i mówi pacierze,
A potem śpiewa wciąż na jedną nutę.
Czasem go tylko cicha zazdrość bierze,
Gdy trawa szczypie nogi zimną rosą...
Jak to jest — myśli — i jak się to godzi,
Że bydło w ciepłe racice obute,
A on wciąż za niem musi chodzić boso?
Siadł — bose nogi podwinął pod siebie
I okiem słońce prowadzi po niebie,
Licząc, daleko jeszcze do południa...

W kotlinach szara ziemia się zaludnia
I szmer się cichy po polach przenosi
Gwarem pszczół, trzmieli i chrabąszczów [polnych,
Nie słychać piosnek, ni śmiechów swawolnych,
Jeno deszcz gwary cichy, nieustanny,
Co zaciśnięte wargi łzami rosi.
Wyszli na pola, wyszli w czas poranny —
Każdy w zagonie swoim wązkim grzebie,
Każdy kroplistym oblewa się potem,
I każdy prawie myśli tylko o tem,
Skądby tu więcej przygrzebać dla siebie
Tej ziemi pustej... Kobiety i dzieci
I niedorostki i starcy schyleni —
Wszystko się rusza na ziemi wilgotnej,
Wszystko dziękuje Bogu, że im świeci —
I sercem błaga, by dał jęczmień pleni
I pełny z niego owoc pięciokrotny,
By nie przeciągnął żniw aż do jesieni
I w gniewie swoim nie dał zbiórki słotnej,
By w dzień pogodę zsyłał, w nocy deszcze,
By dawał zdrowie, moc — i więcej jeszcze.

Tak polecając Opatrzności nieba
Wszystko, co mają na tej ziemi pustej —
Nie pożywają codzień swego chleba,
Ale głód żują zsiniałemi usty...
O, łez kraino! O, ty smutna ziemio!
Oto nad tobą w chmurach bogi drzemią
I o wieczności, zamyśleni, marzą...
Gdybyś Im ściętą w lód stanęła twarzą
W promieniach oczu — ujrzeliby w tobie
Przez pryzmat patrząc jasny i słoneczny,
Wie zność, zakrzepłą w lód, Rozpacz i wieczny
Smutek — z Niewoli urodzony w grobie.
Na łąki, pola i ugory skalne

Białością spływa Cisza południowa.
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cienie jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły suche badyle i osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się, czują
Tę białą ciszę, idącą po ziemi.
Jeno pajęcze muszki owdzie snują
Szarą nić życia i, wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedzą, że jutro, czy prędzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi...

Na łąki, pola i tłoki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Żałość błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.
Idą po ziemi i na każdym łanie
Siadają spocząć, jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie —
Nic — jeno martwa i milcząca starość,
Nic — jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodołami utkwionymi w niebie.
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.
Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą, południową ciszą
Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... A przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
Umierającej matki. Gdzie dolecą —
Tam łzy, po listkach spadając, zaświecą
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kołyszą się liście
Traw i włosiste rozchyla się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało słać przed stopy boże...

(C. d. n.)

Ocknienie.

Dramat w 3-ch aktach

przez

Dr. Kazimierza Rakowskiego.

Nagrodzony zaszczytnem odznaczeniem na konkursie dramatycznym Wydziału krajowego 1900 roku.

Akt III.

(*Mieszkanie profesora w hotelu w Księżopolu*).

SCENA I.

(*Profesor sam — siedzi przy biurku i pisze. Duży arkusz papieru wkłada w kopertę i kładzie pieczęć. — pukanie*).

Profesor. Proszę wejść! (wchodzi Józef, służący dworu księżopolskiego). A co to, mój człowieku?

Józef. Pani przysłała mnie...

Profesor. Jaka pani? Kto?

Józef. A no nasza pani. Z księżopolskiego dworu. Pani Beńkowska, wdowa.

Profesor. A, to ty, mój przyjacielu. Nie poznałem cię. Już cię widziałem chyba we dworze.

Józef. A tak. Było to wtedy, jak nasza pani zemdlała, co list otworzy...

Profesor. Dobrze, już dobrze. Wiem. Nie potrzebujesz mi całej historji opowiadać. Byłem przy tem i nie zapomnę tego, com widział i słyszał. — Co masz do mnie?

Józef. Przyniózem parasol, (stawia go koło szafy) co go pan profesor zapomniał we dworze i....

Profesor. Dobrze. Dobrze. (Z namysłem, lecz niezdecydowany). Słuchaj-no, — czy wasza pani... (urywa).

Józef (ze źle tajoną niechęcią do rozmowy). Nasza pani dziedziczka?...

Profesor . Nic — chciałem się tylko zapytać, czy tu w miejscu niema notarjusza...

Józef. Nie, proszę łaski pana. Najbliższy notarjusz jest w Janikowie. (Profesor się namyśla, milcząc). Czy jeszcze potrzebny jestem?

Profesor. Nie. (wyjmuje z kieszeni sztukę monety). A to za fatygę... (Józef, jakby nie widząc tego, chce odchodzić).

Profesor. Proszę — tu...!

(Józef mimowoli staje, ogląda się, potem w milczeniu bierze za klamkę).

Profesor. Józef!

(Józef przychodzi do biurka).

Józef. Jestem!

Profesor. Daję ci to.

Józef. Pani nasza kazała mi tylko oddać ten parasol...

Profesor. No...

Józef. I żadnych innych rozkazów nie miałem.

Profesor. Co to znaczy?

Józef (brutalnie idąc, ku drzwiom). Że ja od takich tam napiwków nie potrzebuję... (przy drzwiach).

Profesor (szybkim rzutem dogania go i chwyta za ramię). Jak śmiesz!

Józef. Gdyby mój pan żył — pewnie by mi zakazał. Więc ja chcę tak — jak by mój pan żył jeszcze.

Profesor (bezsilnie). On — wszędzie i wiecznie: on! (z wybuchem). A wiesz ty, ty... że ja tu teraz będę panem w Księżopolu!? Ja będę, rozumiesz?...

Józef. A ja u pani naszej wolę za darmo służyć, niż u pana dosługiwać się worów niemieckiego plugawego złota.

Nasz pan wiedział, dlaczego o panu napisał w testamencie to, co napisał...

Profesor (odstępując od niego). Milcz, milcz.

(Józef wychodzi).

Profesor. O tak, mój brat wiedział, co robił... A ja? (Pukanie do drzwi). — Kto tam?

SCENA II.

Szymek (wchodzi). To ja.

Profesor (prawie serdecznie). A, to ty, Szymek Pawlik. To nas obydwóch wyrzuciła znów na ten brzeg powrotna fala. Cóż powiesz?

(Szymek wyjmuje w milczeniu z zatłuszczonego woreczka dwadzieścia marek i sztukami pojedynczemi srebra wylicza je przed profesorem).

Szymek. Raz... dwa... trzy... sześć... dziewięć... dwanaście... piętnaście, a pięć: jest dwadzieścia.

Profesor. Cóż to za pieniądze?

Szymek. To te dwadzieścia marek.

Profesor. Jakie?

Szymek. No te, com od pana profesora dostał przez młodszego pana Malczewskiego w Berlinie. To je przynoszę nazad.

Profesor. Ależ mój drogi, to nie była żadna pożyczka. To dla ciebie miała być mała zapomoga. Przecieżeś nagle tu do pieniędzy nie przyszedł. Masz już miejsce, czy na własną rękę zakładasz?...

Szymek. Nie mam.

Profesor (odsuwając pieniądze). No to weź, zatrzymaj te grosze. Gdy się dorobisz, to mi oddasz, jeśli taki skrupulatny jesteś.

Szymek. Kłaniam się panu. (Chce odchodzić. Nie bierze).

Profesor. Jakto? I nie weźmiesz?... (Szymek nieśmiało staje przy drzwiach). A, rozumiem: pogardzasz tymi pieniędzmi odemnie. Czy tak? Przyznaj się. Wy tu wszyscy ludzie dziwni jacyś jesteście. Dobrze, że wśród was długo przebywać nie będę...

No, mów. Nie masz śmiałości?...

Szymek. Ja bardzo, bardzo dziękuję za pomoc, ale, jakem się namyślił... Bo nasz pan ukochany życiem przypieczętował... I te, te same pieniądze go zmogły. One by mi nie przyniosły szczęścia... Ja wolę z moją biedą...

Profesor (podparty tak, że prawie nie widać twarzy). Szymek — zbliż się — (Szymek podchodzi). Słuchaj, powiedz mi prawdę, szczerą prawdę. Taką prawdę, jak się umierającemu mówi. Bo ja wśród was tu i tak nie pozostanę. Powiedz mi: wy mnie tu wszyscy za rodaka, za Polaka, za swoją krew nie uważacie?

Szymek. Oni mówią na pana „Niemiec“ i „śmierć“ pana nieboszczyka...

Profesor. Dosyć, dosyć. Nie mów dalej. Ale powiedz: przecież ty długi czas też byłeś u obcych i wyszedłeś z kraju. A oni o tobie: „Niemiec“ i „odszczepieniec“ nie mówią.! Czem się to dzieje?...

Szymek. Bo ja wiem? może dlatego, że ja powróciłem biedniejszy, niżem wyszedł, a profesor chyba nie. U mnie się w biedzie ocknęła dusza i coś płakało za krajem i wołało o powrót. I zawsze to ona bieda zwraca człowiekowi oczy napowrót ku swoim...

Profesor. Masz rację. (w zamyśleniu) Jak to jednak oni czuciem rozpoznali, czym ja biedę przechodził i czym tęsknił...

Szymek. O, tego, jak komu tęskno do ziemi ojczystej, to odgadywać dopiero nie trzeba. To się widzi już z oczów, ze wzroku, jakim potoczy wokoło, patrząc i wypatrując rodzinne znane miejsca. Pierś inaczej się wydyma, gdy po raz pierwszy od rozstania znowu powietrzem swojskiem odetchnie człowiek. Taka tęsknica za krajem to jest jakby maska, której się nie zdejmuje, aż dopiero znów między swoimi — i wtedy się oddycha swobodnie...

Profesor. To przypatrz mi się, jak ja wyglądam. Czy wyglądam ci na takiego, co tu na tym gruncie potrafi pracować, tak jak... jak nieboszczyk?

Szymek. Jak kto? Jak nieboszczyk nasz pan? Nie-e. On pracował od młodości...

Pan chciał w Księżopolu jego miejsce?... Nie-e. Pieniędzy wystarczy, ale co reszty — Nie-e...

Profesor. I ja tak myślę. Dlatego też rozstanę się z wami. Idź, Szymek — a niech ci się dobrze powodzi...

(Szymek wychodzi)

(Profesor długo spogląda za nim przez okno. Z sąsiedniego pokoju wychodzi Gertruda i, zbliżając się do ojca, który jej wejścia nie spostrzega, obejmuje go za szyję).

SCENA III.

Gertruda (z tkliwością w głosie). Ojciec taki zadumany...

Profesor. A, to ty dziecko! O tym kraju myślę...

Patrz — widzisz tam w dali ten mały podłużny domeczek? Gdym był w twoim wieku, ten domek stał tak, jak stoi: pochylony, zgarbiony, — zdaje się — bliski upadku, — a jednak stoi!...

Gertruda. Ojcu się tu podoba?

Profesor. Dlaczego tak sądzisz? (Gertruda stara się utrzymać spokojny wyraz twarzy, ale nie jest w stanie stłumić drgnień, poprzedzających wybuch płaczu). Co ci jest — Gertrudo?

Gertruda (przytulając się do niego). Nic, nic. Ojcu się zdaje.

Profesor (łagodnie). Łzy masz w oczach — a zaprzeczasz.

Gertruda (ze łzami). Ja tak tęskniłam, tak pragnęłam zobaczyć ten kraj... ale... ale... Ojcze, wracajmy prędzej do Berlina.

Profesor (patrząc na nią długo i smutnie). Biedne dziecię — więc i ciebie mi nie oszczędzono tutaj!...

(Wchodzi Malwina. Na odgłos jej kroków oboje przybierają obojętne miny. Profesor szuka listów na swem biurku i kapelusza).

SCENA IV.

Malwina (widząc, że profesor bierze kapelusz). Wychodzisz może?

Profesor. Idę na pocztę. Tu zaraz — naprzeciwko. Zaraz wrócę.

Malwina. A to dobrze. Właśnie chciałam zażądać karty pocztowej, ale dzwonię, dzwonię — nikt tu się nie zjawia. To może ty mi to załatwisz. Mój drogi, proszę cię, napisz parę słów do naszego portjera, a dla pewności i do służącej, aby nie zapomnieli zapuszczać rolet w naszem mieszkaniu. Takie teraz upały — słońce zupełnie nam może zniszczyć meble... Nie zapomnisz?

Profesor. Dobrze. Napiszę. Nie zapomnę.

Malwina (do wychodzącego). A mój drogi, może tam gdzie zobaczysz kogo ze służby hotelowej. Każ przynieść czerwonego wina, parę jajek na miękko i szynki surowej dla Gertrudy. Śniadania dziś nie jadła.

Profesor (już za drzwiami). Dobrze — dobrze...

SCENA V.

Gertruda. Ja nie będę nic jadła.

Malwina. Jakto nie będziesz jadła? Ależ proszę cię! Wczoraj kolacji ani tknęłaś, na śniadanie nie raczyłaś spojrzeć nawet...

Gertruda. Nie czuję głodu!

Malwina. Nie czujesz głodu! – a gdybyś ty wiedziała, jak ty wyglądasz z podsiniałemi oczyma! Myślisz, że ja nie słyszałam twoich szlochań tej nocy! (Gertruda odwraca głowę). Wiesz co, dziecko, wybij sobie z głowy tę partję. Widzisz, to rzecz niemożliwa. Tybyś tu — między tymi ludźmi — nie była w stanie mieszkać. Nawet sam ojciec jest rozgoryczony i zrażony wrażeniami, których tu doznał po dwudziestoletniej niebytności w kraju.

Gertruda. Ale ja go tak kocham, mamo!

Malwina. Staraj się zapomnieć o nim. Po tem przecież, jak wczoraj w brutalny sposób obszedł się on i jego ojciec z nami....

(Pukanie).

Malwina. Proszę!

(wchodzi kelner z tacą, na której śniadanie).

Malwina. No, nareszcie ktoś się znalazł! Jakaż tu u was obsługa! Dzwoniłam i dzwoniłam niedawno, to nikt nie przyszedł...

Kelner. Ja nie wiem, ja nie słyszałem, proszę łaski pani. (ustawia śniadanie) Czy tak będzie dobrze? (Malwina kiwa głową). — A, tak, — tam jakiś pan jest na dole i pytał czy panie są ubrane i czy może przyjść.

Malwina. A karty niema?

(Kelner robi minę mówiącą wyraźnie, że nie rozumie znaczenia biletów wizytowych).

Malwina (z niecierpliwością wzrusza ramionami z gestem: Gamoń!).

Dobrze. Prosić. (Kelner wychodzi, rad, że od tak wymagających pań nie naraził się na większe oznaki niezadowolenia).

Malwina (do córki). To będzie z pewnością ten radca z komisji kolonizacyjnej, który się na dziś zapowiedział ojcu. Trzeba go będzie przyjąć — ojciec zaraz powróci. — Popraw sobie włosy, Trudchen. — Zobacz też, czy moje włosy i suknia w porządku. Jaka szkoda, żeśmy nie przywieźli ze sobą Franciszki. Ja nawet myślałam o tem...

SCENA VI.

(Wchodzi Tadeusz Malczewski).

Malwina. Pan? Pan tu? Doprawdy nie pojmuję...

Gertruda (przerywając matce). Mamo — o! — mamo!

Malwina. Idź moje dziecko — wyjdź stąd. Ja sama z tym panem chcę...

Malczewski. Niech pani pozwoli mi tylko słów kilka... Przyszedłem się wytłomaczyć i usprawiedliwić...

Malwina. Proszę pana...

Malczewski. Jestem winien, przyznaję. Nie miałem prawa znaleść się wobec pań tak, jak się znalazłem. Ale starsi i doświadczeńsi odemnie stracili głowę po tem, co wczoraj zaszło w chwili, gdy panie weszły...

Malwina. Nic w świecie nie zdoła pana wytłumaczyć.

Gertruda. Co zaszło? My o niczem nie wiemy.

Malwina. Moja córko, pan widocznie chce w nas wmówić jakieś niezwykłe okoliczności.

Dlaczego lepiej nie powie pan nam w oczy prawdy: że skoro brat mego męża padł jako ofiara zwycięzkiego naporu naszej — niemieckiej — kultury, ci panowie sądzili, że dla nas, Niemek, niema miejsca pod dachem zmarłego! Co tu udawać? wszak ten szowinizm wasz stał nam się wczoraj nagle jasny. O, nie obawiajcie się, — my, niemieckie kobiety, my nie mieszamy się do polityki, jak Polki, a pomimo to sprawa niemiecka zwycięży. (Gertruda zaczyna spazmatycznie łkać). Przestań, dziecko, przestań. Nie przed tym panem. Nie mówiłam tego, co nas spotkało, mężowi, nie chcąc zwiększać jego boleści. O, i on tu doznał rozczarowania, choć się z niem kryje...

(Tadeusz stoi blady, z zaciśniętemi ustami. Nagle chwyta za rękę Gertrudę).

Malczewski. To panie nic nie wiedzą! Nic — a — nic! Panno Gertrudo, niech pani nie wierzy — to nie tak było! Źle sobie panie tłomaczą moje słowa wczorajsze. Tam wczoraj, oh, co tam wczoraj było! — Ale pani niech nie wierzy w takie pobudki mego postąpienia. Nie. Nie!

Malwina. Niechże więc nam pan powie prawdziwe...

Gertruda. Tak. Tak! Ja wiem, ja teraz czuję, że to musi polegać na wielkiem jakiemś nieporozumieniu! Niech pan mówi — niech pan mówi...

Malczewski (z walką wewnętrzną). Ja? ja mam to pani powiedzieć? Nie. Ja — nie — mogę — nic — powiedzieć. — Ja przyszedłem się pożegnać — na zawsze — i prosić o dobrą pamięć... Ja powiedzieć nic nie mogę.

Gertruda. O Boże! Więc jednak tak było! (odtrąca wyciągniętą do niej rękę). Nie — nie — ja nie żegnam — ja pana nie znam...

Malczewski. Gertrudo! (do matki) Pani! Przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, że podejrzenia pani nie są słuszne. Ja zawsze (na Gertrudę) panią — Gertrudę — kocham! Mózg mi w tej chwili drętwieje, moje szczęście — szczęście całego życia w jej ręku spoczywa...

Malwina. A więc dobrze. Wierzymy panu. Później to się wyjaśni. Zapytam męża...

Malczewski. Niech pani nie pyta..

Malwina. Mniejsza z tem. Postaram się zapomnieć o wszystkiem. Ale pan — pan musi zasłużyć sobie u nas nanowo na zaufanie (podaje mu rękę).

Malczewski. Dla mnie już nie ma przyszłości na tej drodze. — Przyszedłem się tylko pożegnać — na zawsze.

Gertruda (chwytając go za rękę). Panie Tadeuszu! Ja pana nie rozumiem! Dlaczego? Co to oznacza? Co pomiędzy nami stanęło? Gdzie jest ten mur, co nas dzieli!

Malczewski. Nie pytaj — pani — na litość, nie pytaj.

(wchodzi profesor).

(Dok. n).

Ekonomista polski XVI. wieku.

I.

Jędrzej Frycz Modrzewski był w Polsce XVI. w. jednym z wybitnych reprezentantów idei, panujących na Zachodzie. Jak w historji jego życia uderza bliski stosunek do najwybitniejszych osobistości współczesnego mu ruchu umysłowego[1]), tak w jego działalności naukowej — pokrewność ducha z reformatorami XVI. wieku.

[1]) Jędrzej Frycz Modrzewski (ur. 1503 w Wolborzu, um. 1570 ?), po otrzymaniu bakalaureatu akademji *artium* w Krakowie, przybywał na dworze Łaskich, kilkakrotne odbywał podróże po Niemczech, gdzie się zaprzyjaźnił z Melanchtonem. Zawód pisarski rozpoczął w r. 1543, w pierwszych swych dziełach odrazu zdradzając społeczno-reformatorskie dążności. W roku 1546 został Modrzewski mianowany przybocznym sekretarzem królewskim, i jako taki, kilkakrotnie zwiedzał dwory panujących europejskich. W roku 1551 wydał (po łacinie) znakomite swe dzieło, jedną z przedniejszych ozdób literatury epoki Zygmuntowskiej: o poprawie Rzeczypospolitej. W dziele tem, którego tytuł brzmi: ***Commentariorum de Republica Emendanda libri quinque*** (Crac. 8⁰) zawarł całokształt swych etycznych, społecznych, politycznych i ekonomicznych poglądów. Wydanie to należy dziś do nader rzadkich, dzieła Modrzewskiego bowiem dostały się na indeks i za czasów reakcji pod panowaniem Zygmunta III. Wazy przez Jezuitów namiętnie były niszczone. (Porów. Wiśniowski. Liter). — Odsyłacze w szkicu niniejszym zastosowane są do paginacji tego pierwszego łacińskiego wydania,

„Reforma“ była hasłem, które rozlegało się wówczas po całym Zachodzie, jednakowo pojmowane w zasadzie — rozmaicie w wykonaniu.

Warunkiem reformy społecznej jest u Modrzewskiego radykalna reforma etyczna. Ta myśl zasadnicza dowodzi wspólności przesłanek, na podstawie których Modrzewski i apostołowie reformy na Zachodzie budować zamierzali.

Człowiekiem, który wywarł bezwarunkowo wpływ największy na Modrzewskiego i na kierunek jego dążeń — był Kalwin[2]).

Piętnując próżniacze życie, brak pracy uważając za zbrodnię wobec społeczeństwa, czerpie Modrzewski swe argumenty z dzieł Kalwina i środki prawodawcze, zastosowane przez Kalwina w Genewie przeciw ludziom bez zajęcia, chce nawet aż za pochopnie rozciągnąć na całą Rzeczpospolitą. Kalwin wydalał próżniaków z miasta, Modrzewski sądzi, że da się to uskutecznić w Rzeczypospolitej.

Starania, jakiemi otacza on moralność publiczną dają silniejsze dowody zależności jego od Kalwina: najcharakterystyczniejszem jest, że przejął od Kalwina projekt, aby państwo miało prawny obowiązek czuwania i kontrolowania obywateli co do ich moralności. Projekt wizytatorów[3]), którzyby czuwali nad moralnem życiem wewnątrz rodziny, którzyby karcili wszelkie wykroczenia przeciw dobrym obyczajom w obrębie pożycia małżeńskiego, projekt zniesienia wszelkich szynków, winiarni[4]), zabronienie „nieprzystojnych śpiewań, tańców, dzieł sztuki wreszcie, mogących wzbudzać lubieżność“[5]) — wszystko to żywcem zaczerpnięte z Kalwina. Najlepszym dowodem tego okoliczność, że środki zarządzone w tym celu przez Kalwina a możliwe w murach jednego miasta, zastosowane były bez zastrzeżeń przez Modrzewskiego do Polski, w której rozległych granicach urzeczywistnione być nie mogły.

System społeczny Modrzewskiego, jak widzimy, opiera się na fundamencie etycznym. Na tymże fundamencie zbudowaną jest teorja jego o istocie i zadaniu państwa. Moralność, obyczajność, są niejako źródłem praw, a państwo jest władzą, która z prawa idealnego tworzy prawo pozytywne. A jak żadna dziedzina życia praktycznego nie jest wolna od pewnych norm obyczajowych, — tak też potęga państwa, oraz prawo pozytywne przez nie stworzone, opanować ma całą sferę życia praktycznego. Zadaniem państwa jest wszędzie wnosić pierwiastek kontroli i orgazacji, zarówno w życie prywatne jednostek, jak w sprawy publiczne. Z tych przesłanek wynika konsekwencja, że i ekonomiczną stronę życia powinno państwo opanować, zorganizować, tworzyć politykę ekonomiczno-społeczną.

Reforma prawodawstwa — oto jest hasło, pod którem Modrzewski naprawę Rzeczypospolitej chce przeprowadzić. Do żądania reformy praw istniejących zmuszają go istniejące podówczas w Polsce stosunki: całe strony, całe rozdziały swego dzieła poświęca na scharakteryzowanie wad spółczesnego ustroju społecznego; oburzenia, a często szczerego bólu pełna jest mowa jego... W przedmowie do swego dzieła mówi: „Wskażę wam wady obyczajowe prawodawstwa i sędziów, wskażę nadużycia, które się dzieją we wszystkich klasach społecznych“ i wskazał je, wskazał również, jak umiał, środki poprawy.

W reformie prawodawczej postulaty jego brzmiały: Równość wobec prawa, uwolnienie chłopów i mieszczan od zbyt wielkich podatków, nadanie praw politycznych stanom niższym.

Modrzewski, jako ekonomista, dochodzi do swych postulatów w ten sam sposób, jak i Modrzewski — prawodawca. Walcząc pod hasłem reformy, uwzględnić zmusi przedewszytkiem istniejące w sferze ekonomicznej warunki, wykazać złe strony organizacji i podać projekt ulepszeń. System reformy społecznej w ogóle, a projekt reformy ekonomicznej w szczególności, składa się z szeregu projektów drobniejszych, nie powiązanych powierzchownie niczem, różniących się zupełnie przedmiotem, którego dotyczą, oderwanych niejako od całości teoretycznego systemu. Projekty te wyłaniają się jeden po drugim w miarę tego, jak oko badacza dostrzega poszczególne wady i mają na pierwszy rzut oka charakter okolicznościowy.

Polska w XVI wieku znajdowała się w fazie ekonomicznego przełomu ku kapitalistycznemu ustrojowi — a zjawiskami, które dziś w naszych oczach mają wagę symptomatów tego przełomu, lecz których wewnętrzne powiązanie nieznanem było współczesnym — były: popierwsze, niebywałe podówczas wahania cen, zamęt w pojęciu wartości rzeczy; powtóre, zupełny brak pieniędzy w skarbie państwowym, w połączeniu z brakiem organizacji finansowej; potrzecie, brak pieniędzy dobrych, brak kredytu i pewności w stosunkach handlowych.

Jakkolwiek odległemi jedna od drugiej mogłyby się te kwestje wydawać — a wybór ich być uważanym prawie że za przypadkowy, w rozwiązaniu ich przez Modrzewskiego nie brak jednolitości, która dowodem jest, że on podciągnął je niejako pod jeden mianownik. Rozwiązanie wszystkich tych kwestji poruczone jest władzy, państwowej, a wybitna polityka ekonomiczna usunąć ma zarówno te, jak i inne wady ustroju ekonomicznego. Ten rodzaj traktowania wszystkich kwestji ekonomicznych z punktu widzenia polityki praktycznej właściwym jest Modrzew-

[2]) St. Tarnowski (Pisarze polityczni XVI w.) kategorycznie przeczy temu, aby Modrzewski znajdował się pod wpływem Kalwina.
[3]) Pag. 50.
[4]) Pag. 56.
[5]) Pag. 78.
[6]) Pag. 100.

skiemu, właściwym jest wszystkim ekonomistom XVI. wieku: polityka państwowa ma stać się osią wszystkich reform, ma stanowić środek ciężkości i nadać jednolitość wszystkim z pozoru różnorodnym projektom.

(C. d. n.)

K. R.

Z pism i książek.

Kazimierz Laskowski. Licytanci. Szkice z życia. Warszawa 1900.

Kazimierz Laskowski, jak żaden inny z młodszego pokolenia powieściopisarzów naszych, powołany jest do zajęcia miejsca pod nieodżałowanej pamięci Klemensie Junoszy. Zbliża się on do Junoszy najbardziej znajomością typów żydowskich i w niepozbawionych humoru utworach swego pióra potrafi, jak Junosza, swym obserwarcjom o coraz to nowych odmianach poddać tło społeczne; obok tego nie zapomina o tem, że obecnie forma krótkiej noweli czyni utwór najbardziej poszukiwanym. Wszystkiemi temi cechami odznacza się najnowszy zbiór nowelistycznych szkiców Laskowskiego pt. »Licytanci. Jest to z wielką znajomością rzeczy wprost z życia zaczerpnięty szereg sylwetek żydowskich, w barwną lekką formę ujęty opis podstępów, używanych przez licytantów dla zdobycia tem większego zysku. W szkicach dużo jest humoru, a jeszcze więcej prawdy. Te drobiazgi czyta się lekko i przyjemnie. Zresztą — co kto lubi. Niejednego może razić zbyt częste napotykanie się z żydowskim żargonem z »Nalewskistrasse«.

Adam Mickiewicz (jego historjozoficzne i społeczne poglądy) np. dr. St. Waszyński. Poznań 1900.

Praca dr. Waszyńskiego, jednego z młodszych historyków naszych, była drukowana w Roczniku T-wa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Jest to bardzo skrupulatne studjum, oparte na korespondecji, historycznych i filozoficznych pismach Mickiewicza, przeprowadzone z iście niemiecką ścisłością. Autor dochodzi do wniosku, że treścią historycznych poglądów Mickiewicza było pojęcie idei, jakiejś niematerjalnej duchowej potęgi, jako źródła, z którego społeczeństwo każde czerpie siłę życie i z którego odrodzenie wypływa. Autor, kreśląc obraz filozoficznych poglądów poety, zastrzega się jednak stanowczo przed twierdzeniom, że Mickiewicz miał jakiś swój własny system poglądów społecznych: »jego sądy społeczne, to jakby odruchy myśli, zrobione w chwili każdorazowej potrzeby«.

Antoni Gustaw Bem. Teorja poezji polskiej (z przykładami). Petersburg 1899.

Znany tłómacz literatury polskiej W. Spasowicza dał w powyższem dziele popularny zarys teorji poezji wogóle, ze szczególnem uwzględnieniem poezji polskiej. Autor nie ograniczył się do traktowania przedmiotu z punktu widzenia poezji w znaczeniu ściślejszem tego słowa, lecz, jak sam zaznacza, przewodniczy mu stale idea poezji w głębszem, ogólniejszem znaczeniu, — idea poezji, ogarniającej wszystkie płody słowa, o ile noszą rdzenne znamię twórczości i ujęte są w piękną formę bez względu na to, czy są skreślone prozą, czy wierszem.

Książka p. Bema dzieli się na następujące części: I. Ogólne zasady poezji (literatury pięknej) wraz z teorją wierszowania polskiego. II. Rodzaje i odmiany poezji. — W części pierwszej systematycznie i gruntownie bada autor istotę, zadanie i treść poezji oraz jej formę, uwzględniając przytem szczególniej ustrój rytmiczny wiersza w języku polskim. Zamknięciem części pierwszej jest pogląd na dzieje naszej mowy wiązanej. W części drugiej, trzymając się podziału na a) poezję lirycznej, b) dydaktyczną, c) epiczną i d) dramatyczną, szczegółowo omawia każdy typ utworu, należącego do grup powyższych i objaśnia na przykładach zarówno z literatury polskiej, jak i obcej.

W dziele swem z wielką znajomością przedmiotu łączy autor umiejętność pogodzenia teorji poezji z historycznym poglądem na jej rozwój, a w ten sposób teorja poezji polskiej staje się niejako literaturą polską, ujętą i usystematyzowaną z teoretycznego, ogólno-ludzkiego stanowiska sztuki. I bezwątpienia jest to jedna z największych zalet książki.

Szkoda, że powieści i dramatowi współczesnemu poświęca autor bardzo pobieżne wzmianki; tłumaczymy to sobie poniekąd wyrażonem w przedmowie życzeniem, że książka ma dla »młodzieży polskiej, stojącej w przybliżeniu na poziomie umysłowym naszej klasy VI szkół publicznych, stanowić rodzaj zasadniczego wstępu do dziejów literatury«.

I przyznać trzeba szczerze, z celem tym autor się nie minął.

Wydanie petersburskie (a więc cenzuralne) obcięło naturalnie pogląd na ten przymiot literatury naszej, który do pewnego stopnia jest zasadniczą jej cechą i nadaje jej pewną indywidualność wśród innych literatur — na wybitny narodowo-patrjotyczny charakter. Ale to już nie wina autora.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.